

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

nr. 31

Katowice, 30-go lipca

1933

Niedziela ósma po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, rozdział VIII,
w 12—17.

Bracia! Wiśni jesteście nie ciała, abyśmy według ciała żyli. Albowiem jeśli podług ciała żyć będziecie, pomrzecie, a jeśli Duchem sprawy ciała umartwiecie, żyć będziecie. Bo którykolwiek Duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi. Boście nie wzięli Ducha niewolnictwa znowu ku bojaźni; aleście wzięli Ducha przywłaszczenia za syny, przez którego wołamy: Abba. (Ojcze), albowiem ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iż jesteście synami Bożymi. A jeśli synami, tedyć i dziedzicami; dziedzicami Bożymi, a spolu dziedzicami Chrystusowymi.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział XVI., wiersz 1—9.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów Swoich tę przypowieść: Pewien człowiek był bogaty i miał wólarza, którego przed nim oskarżono, iż trwonil dobra jego. Przywoławszy go przeto, rzekł doń: Cóżto ja słyszę o tobie? Zдай sprawę z wólarstwa twego, albowiem już dłużej nie możesz wólarzyć. Wólarz zaś mówił do siebie: Co ja pocznę, gdy mi pan mój odbierze wólarstwo? Kopać nie mam siły; zebrać się wstydę. Wiem, co uczynię, aby mnie przyjęli do swych domów, gdy będę złożony z wólarstwa. Przywołał przeto z osobna każdego z dłużników swego pana. Pierwszego zapytał, ile winieneś panu mojemu? A on rzekł: Sto baryłek oliwy. On zaś mu powiedział: Bierz swój zapis, siadaj zaraz i pisz: pięćdziesiąt. Następnie zapytał drugiego. A ty ileś winien? On zaś odrzekł: Sto miar pszenicy. Rzekł też do niego: Bierz swój zapis i napisz: Ośmdziesiąt. A pan pochwalil przewrotnego wólarza za to, że przebiegle postąpił; albowiem synowie tego świata są przebieglejsi, gdy chodzi o im podobnych, niż synowie światłości.

A ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjaciół ze zwodniczych bogactw, aby po śmierci przyjęto was do przybytków wiecznych.

Nauka niedzielna o dobrem używaniu darów Bożych.

Pan Bóg stworzył nas do szczęścia wiecznego, chce jednak, byśmy na to szczęście sami sobie zasłużyli. Dlatego dał nam tu na ziemi różne dobra, które są naszą czasową własnością, pozwala

nam niemi dowoli rozporządzać, zażąda jednak kiedyś od nas z tego wólarstwa rachunku. Jeżeliśmy uczciwie darami ziemskimi wólarzyli, czeka nas nagroda, jeżeli nieuczciwie, czeka nas kara.

Wólarz, o którym wspomina dzisiejsza Ewangelja, był złym wólarzem, ale przebiegłym. Gdy mu grozi wyrzucenie ze służby, stara się w inny sposób zabezpieczyć sobie przyszłość, bo ludzie w rzeczach ziemskich są przebieglejsi niż w sprawach duszy.

Mamy naśladować tego wólarza nie w jego złości, ale w jego trosce o przyszłość. On troszczył się o przyszłość doczesną, my powinniśmy troszczyć się o przyszłość wieczną.

Pan Bóg umieścił nas na ziemi w pośrodku wielkich bogactw, a oddając nam wólarstwo nad niemi, chciał nam umożliwić zdobycie sobie zasług na życie wieczne. Gdy mowa tu o doczesnych bogactwach, to nietylko o tych, jakie posiadają niektórzy, ale o tych darach, które posiadamy wszyscy. Bo czyż nie bogaczem jest każdy człowiek, wyposażony przez Boga tak hojnie pod względem duszy i ciała? Jak my z tych darów korzystamy? Do czego one nam służą: do dobrego czy złego?

Każdy wólarz musi zdać kiedyś rachunek przed panem z wólarstwa swego. Obmyślajmy przeto pilnie sposoby, jak darów Bożych użyć, by z nich nie wynikły dla nas straty, lecz wzrosły wielkie zyski. Bóg nam dał zdrowie, zdolności, może i mienie materialne, używajmy tego wszystkiego tak, jak Bóg chce: dla chwały Bożej, dobra bliźnich i ku pożytkowi dusz naszych. Amen.

Z życia św. Dominika.

(Ur. 1170, um. 1221, święto 4 sierpnia).

Czternastoletni Dominik udał się do Palencji, aby tam oddać się nauce szkolnej. Nauczyciele i koledzy wkrótce zwrócili nań swą uwagę. Pociągały ich jego gorliwość w pracy, wspaniałe jej wyniki, zwłaszcza zaś jego skromna postawa, tak ujmująca u studenta, chciwego wiedzy, szczególnie wiedzy tyczącej Boga.

By pomóc ubogiej wdowie, sprzedał część swego ubrania. To jednak nie wystarczyło. Poszedł dalej, bo sprzedał drogie swemu sercu, bo własną ręką pisane książki. Wielka to była ofiara.

— „Czy mogę, mówił Dominik, uczyć się z tych książek, gdy są ludzie, co mrą z głodu?”

Jednego dnia spostrzegł, że owa niewiasta płacze, bo Maurowie wzięli jej brata do niewoli. Dominik nie miał pieniędzy, by tego człowieka wykupić. Postanowił się sam zaprzedać w niewolę, aby tamtego uwolnić. Niewiasta nie zgodziła się jednak na tak heroiczny czyn młodego studenta.

Sława cnót Domin'ka rozeszła się szeroko. Biskup Marcin de Bazan, łącząc swoich kanoników w regułę św. Augustyna, dodał im młodego Dominika, liczącego zaledwie 24 lat. Został wkrótce zastępcą przełożonego i przez pięć lat był wielce pomocny biskupowi w rządach diecezją.

Pieter.

(Dokończenie.)

— Najdokładniej! — odpowiadałem z kwaśną miną.

— Widzi pan! — zawołał triumfująco. — Jeszcze się podniosę. Jestem honorowy człowiek. Zwróć...

— Ej, nie mówmy lepiej o tem.

— Oo, co do tego, to nie. Przypuszcza pan, że aż tak nisko upadłem?

Przyglądał mi się wyczekująco, poczem podniósłszy kostur do góry, rzekł z pewnem wahaniem w głosie, tak jakby macał rękoma w ciemności, szukając drogi.

— A gdybym... pana poprosił... jeszcze o pożyczkę. Wyrównałoby się np. do 22 złotych — dodał z pośpiechem. — Na 1-go oddam panu z odsetkami. Mam już nawet coś na widoku — zwierzał się z tajemniczą miną — Z nalogiem prawie, że zerwałem. Powoli, powoli, a dokonam wszystkiego. Nie za jednym zamachem Kraków zbudowano. A Marjanke, proszę pana, zabiorę do siebie, biadactwo.

— Na co panu potrzebne są pieniądze?

— Pewien dług, malutki dłużek mam do spłacenia — odparł wykrętnie, starając się zarazem spuścić wzrok ku ziemi. — Marjanka na tem zyska!... — dodał chytrze.

Dopiął swego. Gość z radością w sercu zbiegł ze schodów i zapewne prosto podążył do knajpy. Pieter zaniedbał swoją następną wizytę i nie przyjechał. Dopiero przygodnie zetknąłem się na drodze z nim.

Siedział na schodach jakiejś kamienicy. Dookoła niego zgromadziło się sporo dzieci, a ze zaułków nadbiegały jeszcze inne. Już zdala słyszałem na początku niezrozumiałe krzyki i nawoływania, poczem dobiegły mnie wyraźnie słowa:

— Pieter!

— Pieter; kozaka zatańcz.

— Pieter, foxtrota. Dam na pół litra...

A Pieter na to belkocąc:

— Oh, jak nisko upadłem! O, mój Boże; Boże zlituj się nademną.

Podniosłem go. Poznał mnie w tej chwili. Wspierając się na swym kosturze, wycierał oczy rękawem i łkał:

— To pan... pan. W takim... poniżeniu. Nie,, ja chyba tego,, nie przeżyję. Ta... szkaradna dziatwa.

— Tak szkaradna dziatwa... — przedrzeźniały dzieci starca.

Podparłem pijanego i — przyznam się, że wstyd mi lica palił. Pieter tracił co chwila równowagę i szarpał mną ku jezdni.

— Lu... bię dzieci! — gadał niewyraźnie, połykając całe części wyrazów. — Ale powia... dam panu spo... kojnie nie mogę przejść.

Urwał i zatrzymał mnie gwałtem przed wystawą bogatej winiarni. Żadna siła nie zdołałaby teraz oderwać go od okna. Oczy zapłonęły mu żądzą. Zdawało się, że rozkoszuje się widokiem omszonych butelek, że czuje na języku przedsmak zamkniętych w flaszkach płynów. Młaskał głośno i robił sobie najróżnorodniejsze uwagi.

— Może poszlibyśmy... na jedną... butelczynę, — zaproponował głosem drżącym i dławionym przez czkawkę.

— Nie, nie mogę.

Zażądał pożyczki. Odmówiłem. Wtedy naj-niewinniejszemi łzami zaczął prosić. Nie umiałem się prośbom jego oprzeć. Wręczyłem mu pieniądze; natenczas pożegnał mnie szybko i — ruszył chwiejnym, ale pewniejszym krokiem naprzód. Wkrótce znikł na zakręcie.

Nie widziałem go przeszło pół roku. Zachodziłem nieraz jeszcze do restauracji z „Odpoczynkiem na Zillertalu“ i pytałem o starego fagasa. Nikt go nie widział. Alma również była o niego zaniepokojona. Opowiadała, że posłyszała, iż starzec żyje w skrajnej nędzy. Kryjówki jego znaleźć atoli nie umiała.

— A gdzie właściwie mieszka? — badałem, zaglądając głęboko w fiołkowe oczy dziewczyny.

— Latem nocuje byle gdzie; po okolicznych wsiach, w knajpach a zimą w przytułku. Zaglądałam wszędzie, nie było go nigdzie.

Nie wiem, czy nazwać to przypadkiem, czy też inaczej. Z wiosną, uradowany ciepłem promiennego słońca i zapachem kwiecia, pobłądziłem po ulicach — i nagle przystanąłem przed znajomą knajpą. Przyglądałem się pewien czas wchodzącym i wychodzącym ludziom, gestykulującym bardzo żywo. Ruch w gospodzie był za wielki. Zastanowiłem się. Z wewnątrz buchał na ulicę niecodzienny gwar, jakby brzęczenie roju pszczół w ulu. Zdecydowałem się i wszedłem. W lokalu panowało wielkie podniecenie. W oczy wpadły mi przede wszystkim mundury kilku policjantów. Właściciel stał jak zawsze na swoim posterunku, grzmiąc nieustannie znanym głębokim basem. Skądś rozbrzmiewał cichy płacz dziewczyny, zdawało mi się Almy.

— Złodziej! Szubrawiec! — ryczał grubas z załady, miotając z pomiędzy niewyraźnego oblicza, małe, ostre pociski z niewidocznych ocz.

— Wujku Pietrze! — krzyczała dziewczyna.

Przecisnąłem się poprzez zbity tłum gości i — zobaczyłem Pietra leżącego na stole. Oczy miał przymknięte, twarz czerwono-siną. Spoczywał zastrygły, jak umarły.

— Co się stało, panienko? — zwróciłem się do kelnerki, wycierającej końcem białego fartucha zaplakane lica.

— Co tu gadać długo. — odparł zamiast niej jakiś człowiek o fizjonomji zawodowego pijaka ochryplym głosem. — Biedował człek. Nigdzie pracy, ni chleba. Ot, i nędza pchnęła go do występku. Wytłukł okno (tamto widzi pan!) i zabrał się do flaszek, proszę pana. Nad samem ranem, głuptas. I do tego kosturem, proszę pana. Prał, aż szyby dzwoniły. Hałas na pół mili! Zjawili się polikiery i — złapali, proszę pana.

— A dlaczego leży nieruchomo?

— A bo, proszę pana, wypił odrazu pół flachy wódki i zamroczyło go śnać porządnie. Ej, nie by-

łoby tego, gdyby nie bieda, proszę pana. Bogaty tego nie robi, proszę pana...

Obecni umilkli, nawet gospodarz zaprzestał wyzwisk, bo Pieter otworzył oczy i załzawionym wzrokiem powiódł wokoło. Zatrzymał się na policjantach. Chwilę wywracał białkami ocz. jak gdyby przypominał sobie zaszłe wypadki, potem jęknął:

— O, Boże, jak nisko upadłem! Co za poniżenie... I pan... pan — dodał, spostrzegłszy mnie obok Almy. Notesik, zaraz... Sprawa honorowa — marmotał, coraz większym wysiłkiem. Poznać było można, że język powoli mu sztywniał. Jakoż zamknął powiekę i westchnął.

— Fertig! — rzekł ktoś brutalnie. — Ale djabelnie niewygodna pozycja do umierania. Jakie życie, taki zgon. — zanucił.

— Wynieść mi go — draba, złodzieja; niech zdechnie pod tem oknem, które rozbił. Huulltaj!!! — Alma! — muzyka. — krzyknął grubas.

Alma nie ruszyła się z miejsca. Wyręczył ją ktoś inny i nakreślił starą zacharczałą katarynę. Wkrótce rozległy się chrapania, jęki i melodia — owa mieszanina „Orfeusza w piekle“ z „Torgauer Marsch'em“, złączyła się z gwarem ludzkich wrzasków i głośnym konaniem Pietra.

Franciszek Klon.

Feliks Brodowski.

Pieśń.

Przypomniały mi się dwie niegdyś słyszane rzeczy i radbym je opowiedzieć, ale nie potrafię tego uczynić w słowach, w jakich sam je słyszałem, bo było to już bardzo dawno, a powtórę — rzeczy te zbyt długo żyły we mnie, przelamały się w mojej duszy, obiepiły ją cząsteczkami — i dlatego dziś mogę je powtórzyć tylko „swojami słowami“.

Pierwsza — to pieśń. Jej watek tylko został mi w pamięci, strofy całej ani jednej. Śpiewała mi ją przed laty dziewczyna, ot — ladaco, niedobra dziewczyna. Nawet o cień tkliwych uczuć jej bym nie posądził, a przecież — gdy wyśpiewała mi to, w oczach jej były wielkie łzy, te najcudniejsze z brylantów, w których lubi przeglądać się Bóg. I choć je szybko otarła — wiedziałem już, że pod stwardniałą grudą błota, spodem gdzieś, w jej pierś szemrze czyste, nieskalane źródło tkliwości.

Jej pieśń i druga, dawniej jeszcze, już nie pamiętam od kogo zasłyszana bajka, którą potem z kolei opowiem, — mają wspólny motyw taki. Cierpienie jest pospolitym objawem; jest go tak wiele, że nikt, nawet Bóg nie może sobie zaprzętać głowy wszystkimi, których coś boli. Ale czasem jest ono tak okropne, krzywda tak okrutna, że krzyk jej biegnie przez zaświaty i Bóg strwożony schodzi sam na ziemię, ukazuje się „w osobie“ i ze wzruszeniem wielkiem przytula do boskiej piersi swe nadmiernie zbolale stworzenie.

Tak się oto dzieje i w pieśni i w bajce.

... Ożenił się chłop z wybraną dziewczyną... Byli oboje z tego ukontentowani, ale cóż — nie mieli dzieci. Lata mijały — nie było. Chłop się tem markocił, ale nie tak znów wiele. Kazano mu

odprawić jakieś praktyki religijne — odprawił. Kazano mu pójść do znachora i posłuchać jego rady — posłuchał. Gdy nic to nie pomogło, przestał sobie głowę zbytńm zmartwieniem nabijać, na co zresztą i czasu nie miał — cały dzień za domem, w robocie. Ale z babą było gorzej.

Może nie tyle była zapracowana, może prędzej z domową robotą uporać się mogła, dość że miewała chwile zadumy — i choć brała wtedy wrzeczono, ale palce jej wrędcie nieruchomiały, a głowa smutnie opadała na piersi. Cała wtedy uchodziła w ciche, tęskne, trwożne wsłuchanie się. W siebie się tak wsłuchiwała, czy nie usłyszy uagnionego drgnienia.

Ale cisza była w jej łonie, tylko z ciszy tej jak opar się podnosiła i zasnuwała ją cała — coraz gęstsza, z dnia na dzień tęskrota...

Szły lata — i ludzie, patrząc na chłopca, z politowaniem kiwali głowami: „Biedak, żonę ma warjatkę“. Bo niewiasta taka jakaś się stała, tak cała uszła w tę swoją tęsknotę, w sobie się zamknęła! tak nieochotnie i czasem nie do rzeczy odpowiadała...

Chłopu bardzo jej żal było — i za nic najmniejszego nie czynił jej wyrzutu, choć widział, że i robota już jej się nie sporzy. Pewnego dnia do domu wróciwszy zastał ją przy kołysce, w której na posłaniu z siana klocek dębowy zgruba ociosanym ułożyła i z dziecinnem na twarzy uradowaniem kołysała to drewniane dziecko. Nawet i wtedy nie jej nie rzekł.

Tylko usiadł gdzieś w kącie i twarz dłonią przysłonił, a choć chłop był twardy, spracowany, do czułości nieskłonny — coś mokrego między palcami mu się sączyło...

Teraz ona miała swą jedną zawsze rozrywkę, z niego zaś ludzie się śmiali. „Lepiej sprabysz babę, a do roboty ją napędził, — mówiono — niż pozwałać jej na taką warjacką i nawet grzeszną zabawę“.

On na to ręką machał i ani słowem nie przyganił.

A ona nawet poweselała i na wybladłe liczko lekki powrócił jej rumieniec. Już nie zastawał jej w takiej martwej jak dawniej zadumie, kiedy nawet z kąta się nie ruszyła, nawet okiem po nim nie powiodła — gdy wracał. Teraz ledwie nogę zapróg przełożył, porywała się od kołyski i, witając go przyjaźnie, ręce mu kładła na ramiona i patrzyła mu w oczy z takim z swoich rozradowaniem z taką roześmianą obietnicą, że w nim aż dech zapierało i słodki szedł po nim dreszcz.

Ale gdy chciał zacząć rozmowę, kładła palec na ustach i wracała do kołyski, którą całą muślinem osłoniła — i z troską w nią zapatrzona znów kołysała; kołysała bez końca, przyśpiewując to ciszej, to głośniej: „Luli, luli...“

Chłop w milczeniu ze spuszczoną głową jadł wieczерze, gdy zaś spojrział w tamtą stronę i pomyślał, że pod muślinem wykołysuje się klocek dębowy, — piołunem mu zachodziła strawa, kładł łyżkę i szedł do swego kąta. Ciężko jak kłoda walił się na posłanie — spać, spać, nie widzieć, nie słyszeć...

I nieraz, gdy w nocy się budził — wciąż jeszcze słyszeć było miarowy stuk kołyski. Wtedy prawie strach go zdejmował. Przed ciemnym świętym jakimś obrazem lampka się dopalała, knot

skwierczai, coraz głębiej uchodząc w wodę; światło to przygasało, jakby zdławione zewsząd napierający, zgęstniałym mrokiem, to wybuczało nagłą jasnością, od której cienie się rozlatywały, opuszczały w dół, kołysały po ścianach i łopoczącymi bezgłośnie skrzydłami muskały główkę nieruchomą, wspartą na ręku — cierpliwą, upartą, niezmoloną...

Nieswoim jakimś głosem prosił:

— Andziu, a połóż-że się przecie.

Wreszcie doszło do tego, że ona od tej kołyski już wcale nie odchodziła. W oczach jej paliła się gorączka, na twarzy zastygło jakieś bezdenne trwożne oczekiwanie i niepokój.

Kołysze, kołysze, a naraz poderwie się i przypadnie głową do owego muślinem osłoniętego drewna — i słucha, a słucha, dziwne ognie przebiegają jej po twarzy i w wejrzeniu coś dzikiego błyska

Toczy okiem dokoła niczem tygrysyca, strzegąca swych małych.

I znów kołysze, i znów przyśpiewuje — luli a w śpiew jej wrywają się raz po raz przenikliwe jakieś akcenty — ni to tryumfu, ni to na trwoże.

Zmarniało im gospodarstwo i jedna im tylko została krowina. Zwiedzieli się różne oszusty, że tam ku lawo idzie i oto raz — gdy chłopca nie było — wsuwa się do izby ktoś z ryżą, śpiczasta bródka.

— Sprzedacie krowę, gospodyni?

Nic nie odrzekła, ręką tylko machnęła żeby szedł sobie. Wyszedł, ale za chwilę już dwu ryżych było.

— Gospodyni, wy nam krowę sprzedajcie, bo tak powiedział gospodarz. Un nam powiedział, żeby my za nią zapłacili wam sto złotych. Nie macie co się spierać, bo to już targ skończony.

Szarpnęła się, żeby ich wypędzić, ale naraz coś do miejsca ją przykuło. Głowę przechyliła do kołyski, słucha, a cała krew jej uszła z lica. Dziko zamachała rekoma.

— Idźta, idźta ludzie, idźta precz!

— Już pójdziemy, już zaraz pójdziemy, gospodyni, tylko weźcie od nas te pieniądze. No już weźta przecie.... Ot patrzajcie — gospodyni — my kładzimy je tu, tu.

Coś wsunęli pod poduszkę.

I poszli — krowę z sobą powiedli.

Wpada chłop na odwieczarz, a ludzie mu już na drodze powiedzieli — że baba krowę sprzedała. Trzęsł się jak liść osiczyn.

— Gdzie krowa? huknął od proga.

„A ona palec na usta swe kładzie, cichość jemu nakazuje.

— Gdzie krowa — suko ty zaprzepaszczona — gdzie pieniądze?

Rękami rozwiedła — pomieszana; na poduszkę wskazała.

Chłop sięga — tam brudnego papieru kawałek.

Uh — ryknie, jak nie chwyci siekiere i ciosem, co debu by rozłupał, jak wytnie w nakryty muślinem p'eniak...

I wtedy to ten straszny w zaświaty uderzył krzyk:

— Zabieś!

Szkarłatnym strumieniem krew z drzewa tysnęła....

Chłop runął rozpaczą podcięty — i cisza nastąpiła.

W tę zgrozę krwawą, rozpaczną — z prze-

stworzy wywołany i sam pomieszany zeszedł wtedy Bóg. Matkę, ojca i to z cudu jej miłości już poczęte dziecko zgarnął w swe ramiona i — achiłwszy pomoc aniołów, którzy służyć mu chcieli — ostrożnie i czule poniósł sam wszystko troje, do siebie.

Sw. Augustyn a sprawa żydowska.

Nikt z ojców Kościoła, wyjąwszy może św. Hieronima, nie poświęcił Żydom tyle uwagi, co św. Augustyn, prawdopodobnie również dla tego, że w diecezji swej Hipponie (północna Afryka) немало Żydów posiadał. Zarówno w swych pismach egzegetycznych, jak w kazaniach i przy wykładzie Pisma św., niejednokrotnie miał św. Augustyn okazję do analizowania psychiki społecznej narodu, mniającego się „ludem wybranym“.

Żydów znał i miał ustalone poglądy na sprawę żydowską, która już w owych czasach oddawna istniała. W słynnym swym traktacie „De civitate Dei“ (lib. 18. 46) ubolewa nad zaślepieniem Żydów, w których — jak twierdzi — „nienawiść silniejszą jest od ich niedowiarstwa“. Idąc śladem św. Ambrożego, wyraża pogląd (In Ioan. Evang. 42. 10), że „Żydzi, niegdyś umiłowane dzieci Boga, stali się synami szatana“, a w innym miejscu (Epist. 82. 17), że „jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa Pana ich praktyki religijne stały się tylko zwykłą formalnością pokrywającą ich obłudę“, tem nie mniej mówi o narodzie żydowskim z wyraźnym współczuciem. Nie zapomina, że „tam byli Prorocy, tam istniała Świątynia, tam Bogu jedynemu składano ofiary, tam żyli Patriarchowie, a nawet sam Chrystus Pan w pokoleniu Abrahama się urodził“ (Enarr. in ps. 84. 11).

Na krótko przed swą śmiercią pisał jeszcze (Adv. Judacos, 10. 15): „Nie wolno nam pogardliwie natrząsać się nad tą odłamana gałęzią. Pamiętajmy, przez jaką łaskę, przez jakie miłosierdzie i na jakim pnium zaszczepieni zostaliśmy, aby nie wywyższać się, lecz zniżyć do poniżonych, aby nie z głupią pychą na ustach, lecz z łagodnym uczuciem przyjaźni mówić do nich: „pójdźcie i chodźcie wraz z nami do światłości Pana“. Św. Augustyn był przeciwnikiem przesadnie gwałtownych wystąpień: Bóg i tak ciężko doświadcza Żydów rzymskie legiony zburzyły Jerozolimę, a lud cały musiał w rozsypce iść w świat szeroki. Nie można z tego powodu ubolewać, nie można jednak również zbyt triumfować, odwrotnie z rozważań nad temi faktami państwa winny wyciągnąć należyte wnioski.

Pisze więc w „Civitas Dei“ (lib. 18. 46): „Bóg Kościołowi dał przykład miłosiernej łaski względem swych nieprzyjaciół. Zniszczył w nich nie charakter rasy żydowskiej, aby, bożych praw zapomniawszy, przestali być dla nas świadectwem, lecz rozproszył ich, albowiem, gdyby z tem świadectwem, jakie mają w swych pismach, pozostali zamknięci w swej ojczyźnie, a nie zostali rozrzuconeni po ziemi, jak wtedy Kościół po całym świecie rozszerzony mógłbyś poznać świadectwa prorocत्व, które kiedyś nadejście Zbawiciela zwiastowały?“ Rozproszenie Żydów jest więc podług św. Augustyna nietylko karą, lecz jednocześnie konkretnem świadectwem prawdy nauki chrześcijańskiej.